11. Maja. Nr. 27. 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „Nowin" we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej."

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

VI.

Po miesięcznym prawie pobycie w Carogrodzie potrzeba go było opuścić i jechać dalej. Jużem był w zupełnej gotowości do podróży, już miałem bilet na statek parowy francuzki., który miał mię zawieść do Genui, kiedy poznałem w wigilję wyjazdu pewnego kapitana włoskiego, płynącego do Włoch swoim własnym okrętem żaglowym. Signor Giovanni, dowiedziawszy się, że i ja chcę jechać do Włoch, że nie mam żadnych spraw naglących, które by mi nakazywały dostać się tam jak najkrótszą drogą i jak najprędzej, ofiarował mi swój statek do odbycia tej podróży i obiecał mi nawet towarzyszyć przy zwiedzaniu Rzymu, Neapolu i innych miast włoskich lewego brzegu, gdyż te miasta leżały mu także po drodze do Genui, do której ostatecznie zdążał.

Signor Giovanni był bardzo miłym człowiekiem. Twarz miał piękną z wyrazem wielkiej męskości i dziwnej słodyczy zarazem. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo prędko i chętnie przyjąłem jego propozycję.

W wigilję wyjazdu zaprosiliśmy kapitana na śniadanie do jednej z restauracyj handlowej Galaty. Ożywionej rozmowie towarzyszyły kieliszki wina cypryjskiego. Wesoły, mowny signor Giovanni był w swoim żywiole. Gdyśmy skończyli śniadanie zaproponował nam przejazdżkę do swego okrętu, który korzystając z pomyślnego wiatru przepłynął był Bosfor i stał na kotwicy już na morzu Marmara. Dzień był pogodny, Bosfor był cichy, łódź kapitana z czterema wioślarzami czekała u przystani — zgodziliśmy się natychmiast i natychmiast siedliśmy do łodzi.

Jeżeli kołysanie okrętu jest uciążliwe i przykre, to chwianie się łodzi ma coś przyjemnego w sobie. Przynajmniej w owej chwili łódź była dla mnie dziwnie miłą kołyską: z góry nas przygrzewało słońce spokojnie rospalone na bezchmurnem niebie, z dołu nas ochładzała Bosforowa fala swojem lekkiem, wachlarzowem wianiem; w nas samych nie ustąpiły były jeszcze rozmarzające wpływy wina cypryjskiego. Wszystkie te wrażenia ujęte w takt łagodnego chwiania się łodzi dawały przyjemną i również rozmarzającą kołysankę.

Łódź szybko parła i wkrótce wpłynęliśmy na morze Marmara. Tu morskie koryto rozszerza się znacznie i brzeg przeciwległy był dla naszego oka gęstą siecią powietrzną zaciągnięty. Leżące przy nim wyspy Książęce, wspaniałe, bujną zielonością okryte wyglądały tu jak samotne odaliski z morskiej sadzawki na brzeg wychodzące. Te wyspy zajęły mię bardzo, i zacząłem rospytywać się o nie. Powiedziano mi, iż są zabudowane willami bogatszych mieszkańców Stambułu. Musiałem mimowolnie oddać sprawiedliwość krezusom Stambułu, gdyż nie mogli znaleść piękniejszego ku temu miejsca.

Wkrótce przybyliśmy do okrętu, który nam rzucił drabinę ze sznurów, ażebyśmy się dostać mogli na wysokość pokładu. Dostawszy się na pokład zacząłem się rozglądać w przyszłem mojem gospodarstwie a właściwiej powiedziawszy, w przyszłym moim świecie. Okręt bowiem w dłuższej podróży morskiej jest całym światem dla żeglującego, jak całym światem dla więźnia są cztery ściany jego więzienia.

W dolnej kajucie, oszklonej u góry, częstował nas kapitan cukrami i winem. Rozmowa była ożywioną i zeszedłszy na pole polityczne stała się przeplataną częstemi toastami. Signor Giovanni zapytany o własne przekonania co do ówczesnej walki stronnictw we Włoszech dał nam taką odpowiedź:

— Według mego zdania wypada dziś każdemu dobrze myślącemu Włochowi wspierać swój rząd, nie wymagając od niego rzeczy, których on natychmiast dać nie może, a popychając go jednak zawsze po drodze wytworzenia jedności włoskiej. Nadto mamy dziś jeszcze zewnętrznych nieprzyjaciół, abyśmy się mieli bawić w wewnętrzne zatargi. Pierwszym, głównym najzaciętszym i najszkodliwszym wrogiem jedności włoskiej jest duchowieństwo z papieżem na czele. Dla nich zasiadanie naszego Galant'uomo na tronie włoskim jest panowaniem Achaba, jest czcią Baala, jest przedewszystkiem owemi nożycami, które starają się przecinać na całym półwyspie sieć tej intrygi, którą tak misternie snuć umieją księża. Jest już dzisiaj pewne szczupłe grono liberalnych księży, którzy starają się pogodzić obowiązki swoje religijne z obywatelskiemi i za zbrodnię poczytali by sobie działanie w duchu kurji rzymskiej ku rozerwaniu jedności włoskiej; ale to grono, powtarzam, nie jest wielkie. Przeciwnie zaś, zastępy nieprzyjaciół naszych w duchowieństwie są niezliczone.

— A to jest najstraszniejszy nieprzyjaciel — rzekł zwracając się do mnie. — Czy wiesz pan czem całe Włochy stałyby się ostatecznie, gdyby nadal pozostały pod opieką duchowieństwa, tak jak do dziś dnia zostawały? Oto byłyby tem, czem jest dziś Malta: zapomniałyby że są Włochami, że były kiedyś ojczyzną Danta i Machiavela, stały by się jedną wielką zakrystją, gdzie pod ornatami i obok naczyń święconych odbywa się gwałt i sromota. Ujrzysz pan Maltę własnemi oczami i przekonasz się pan, że obrzędowość zabiła tam wszelkie zarody życia umysło-

wego. Anglicy, którzy panują na Malcie, i którzy tyle się troszczą o umysłowy rozwój Maltańczyków za życia, co i o zbawienie ich dusz po śmierci, wyśmienicie umieją się z nimi obchodzić. Czy wiesz pan co mówią o konstytucji maltańskiej? Ma się składać ona z pewnej określonej ilości wystrzałów armatnich, danych z cytadeli przy każdem znaczniejszem święcie: Maltańczycy więcej nie żądają. Swoboda procesji, 21 wystrzałów armatnich zagwarantowanych konstytucją i orędownictwo ojców Jezuitów, cóż im więcej do szczęścia potrzeba?

Słuchałem z uwagą i ciekawością słów kapitana i kiedy skończył mówić, powiedziałem:

— Jeżeli się nie mylę, to Włochy są tym krajem w Europie, któremu duchowieństwo najfatalniej dało uczuć ciężar swej potęgi. Nicość polityczna Włoch przez tyle wieków nie da się inaczej wytłómaczyć jak w ten sposób, iż wybujanie kosmopolitycznych interesów papiestwa zagłuszyło, przytłumiło rozwój polityczny Włoch. U nas w Polsce dzięki Bogu, duchowieństwo nie wyzuwa się z poczucia obywatelskiego. Wprawdzie w XVII. wieku otrzymaliśmy odeń w upominku niszczące wojny kozackie, jako niezbędne następstwo nietolerancji przez Jezuitów nam zaszczepionej; ale dzisiaj, bardzo niedawno bo przed rokiem, widzieliśmy naszych kapłanów, jak stawali na czele szyków narodowych, jak walczyli dla sprawy, która chociaż nie jest kościelną, niemniej przeto jest z Boga.

— A jednakże — rzekł mi na to Włoch podejrzliwie — bodaj czy waszym kapłanom nie chodziło więcej o powrót do dawniejszych praw katolicyzmu, o uzyskanie silnego wpływu dla jego hierarchii, aniżeli o narodowość. Przecie i nasz papież, gdy mu polityka hierarchiczna nakazuje, oświadcza się łaskawie dla waszych ruchów narodowych; trudno jednak widzieć w tem co innego, jak chęć utrwalenia swoich wpływów na Północy, gdy te na Południu i Zachodzie Europy coraz to słabszemi się stają.

Na ten temat toczyła się dalej rozmowa, z której wywnioskowałem to, com później sprawdził na gruncie włoskim, że nienawiść do papiezmu i hierarchji jest bardzo spotęgowaną u Włochów należących do wykształceńszej warstwy. Mój signor Giovanni był doskonałym przedstawicielem tej warstwy, jakkolwiek pod względem politycznym należał do stronnictwa umiarkowanych.

To co go najbardziej raziło w duchowieństwie, to była hipokryzja i udana pokora, to jest: tajenie własnych błędów i zręczne maskowanie ambitnych zamiarów. Signor Giovanni zaś, więcej jako marynarz niźli jako Włoch, nie znosił hipokryzji. Jego natura otwarta i szczera grzeszyła może nawet zbytecznem wywnętrzaniem się; była jednak zato zupełnie wolna od zarzutu hipokryzji.

Signor Giovanni był wielkim przyjacielem Polaków i nadzwyczajnym wielbicielem Polek. Ożywienie, towarzyskość, dzielność naszych niewiast z któremi nie jednokrotnie miał sposobność zaznajomić się, zachwycały go bardzo. W skutek tej wielkiej przyjaźni dla Polski nazwał swój okręt Polonią i ja bardzo rad byłem z tego trafu, który mię przynajmniej na fikcyjną Polskę przenosił.

Ku wieczorowi odpływaliśmy wszyscy napowrót do Stambułu. Wieczór był wietrzny, spokojne zwykle morze Marmara zorane było falami i łódź nasza pląsała po nich, zataczając się ciągle w tę lub ową stronę. Byłem po raz pierwszy na tak szczupłej i kruchej łupinie w obec większej przestrzeni wód. Zdawało się, że łódź nasza ze wszystkimi płynącymi jest tylko igraszką dla wodnego olbrzyma, który podrzucał nami i przechylał nas, zawsze na tyle tylko, ażeby się nie pozbawić nadal igraszki, ale nuż się uprzykrzy zabawka olbrzymowi i strąci ją jednem naprężeniem muskułu w przepaść?

Bardzo być może, że ta myśl nabawiła by mnie była pewnej trwogi, gdyby nie wesołe towarzystwo, które mię otaczało w łodzi i nie wesołe wpływy szampańskiego wina, przed któremi znikają wszelkie obawy i troski, jak przed promieniami jutrzenki znikają mary nocne i widziadła. Więc morze się chwiało, i łódź się chwiała i myśmy się chwiali, pewni, iż w ostatecznym razie gdyby się przyszło nam skąpać w morzu i na wieki pozostać w tej kąpieli, to odbylibyśmy tę przymusową wycieczkę w dobrem i wesołem towarzystwie.

O zmroku wróciliśmy do miasta. Nazajutrz miałem wyruszać z moim kapitanem w daleką podróż. Podróż była daleką, świat, w który miałem się zapuścić, był mi zupełnie nieznanym, zawód, zajęcie którego miałem się chwycić, było mi jeszcze zupełnie niewiadomem... to wszystko razem mogło bardzo pobudzać do rozmyślań, do układania planów, do wytwarzania obrazów nowej, a niedalekiej przyszłości. Dla tego też sen nie nadbiegał wcale ku moim powiekom, kiedym się położył w izdebce Macka, pełnem światłem księżycowem rozwidnionej. Przez rozwarte okna wpadała struga świeżego powietrza, a z nią zazierała ku nam zupełna cichość i samotność ulic przedmieścia. Na tle tej ciszy i białych promieni księżyca snułem obrazy, plany, zamiary i wkrótce głowa moja stała się wielkim ulem, w którym te wszystkie wątki, jako pszczoły huczały, brzęczały, roiły się i wielką wrzawą i zamięszaniem napełniały sklepienia czaszki.

Poczęcie obrazów i zamiarów jest zwykle roskosznem, tak jak poczęcie człowieka; ale gdy poczęte obrazy, tak jak poczęte embrjony, wymagają życia, rzeczywistych kształtów, a tu czas i przestrzeń nie da się oskrzydlić i unieść za chęcią skrzydlatą, wtedy roskosz przechodzi nagle w męczarnię, skore słodycze poczęcia w powolne boleści rodzenia.

Tak się też stało i zemną. Zamiary, plany, obrazy stawały tłumnie przedemną i wołały: życia! życia! daj nam życia! Po coś nas poczynał, byśmy więdły i gasły przedwcześnie. Jeśli nam nie dasz życia natychmiast, będziemy cię męczyć, dręczyć, ścigać aż do ostatniej komórki twego mózgu!...

A ja im życia natychmiast dać nie mogłem, więc dotrzymały słowa i zaczęły mię męczyć niesłychanie i prześladować. Ale powoli tłum ten stawał się coraz to mętniejszym, obrazy coraz mniej wyraźne, wrzawa przechodziła w echo — zasnąłem. (C. d. n.)

ŚWIAT I SUMIENIE.

Dramat w pięciu aktach

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

O s o b y.

PANI NAŁĘCZ.
ZOFJA | KAMILA } córki pani Nałęcz.
PAN RADCA.
KONSTANTY, syn radcy.
ZŁOTKOWSKI, bogaty krewny radcy.
PAN ADAM.
SŁUŻĄCY.

Rzecz dzieje się we Lwowie.

AKT I.

(*W domu Pani Nałęcz*).

Scena I.

PANI NAŁĘCZ, ZOFJA, KAMILA.

(*Zofja siedzi zamyślona, nie zwracając uwagi na działanie koło niej. Pani Nałęcz zajęta Kamilą, która biega po pokoju, staje przed źwierciadłem, to przed matką, poprawiając ubranie nieustannie.*)

PANI NAŁĘCZ.

Ładnaś Kamilciu!

KAMILA.

Tak, w starej sukience.

PANI NAŁĘCZ.

Wiesz ty, że młodej, przystojnej panience,
Szczególnie tobie, we wszystkiem cudownie.

KAMILA.

Nowa sukienka przecie by się zdała.

PANI NAŁĘCZ.

Mogłabyś nawet stroić się kosztownie,
Gdybyś mnie zawsze, mnie tylko słuchała.

KAMILA.

W czemże to mamo?

PANI NAŁĘCZ.

Zechciej zostać panią.

KAMILA.

Tego chcę, mamo.

(*Zofja spojrzała znacząco na Kamilę.*)

KAMILA (*mniej śmiało*).

Lecz Zosia mi radzi...

PANI NAŁĘCZ.

Ty się Kamilciu nie zapatruj na nią,
Bo do niczego, wierz mi, nie prowadzi
Postępowanie na oślep, bez głowy.
Kocham i kocham! i cóż z tej miłości?
Za nic me rady, troski i namowy...
I dziś tu pewnie Konstanty zagości.

KAMILA.

Mama nie życzy?...

PANI NAŁĘCZ.

Już jej ze sto razy
To powtórzyłam; lecz poradź, cóż zrobię!
Wszak nie dopuszczę się takiej obrazy,
By aż nie wrócił, raz poszedłszy sobie.

KAMILA.

On znowu mamo nie zasłużył na to.

PANI NAŁĘCZ.

Że nie zasłużył, nie ma mowy o tem;
Lecz ty, ni Zosi nie jest tak bogatą,
Żebyście miały aż pogardzać złotem;
A pan Konstanty tylko w drodze stoi.
Ona z nim co dnia, prawie od miesiąca,
Myśli, i czyta, i duma i roi —
A to Kamilciu nie da i tysiąca;
Pieniądz zaś dzisiaj, wierzaj doświadczeniu,
Wszystkiem na świecie. Cóż ztąd, że on kocha?
Miłość ostoi się tylko przy mieniu,
Ale przy biedzie, i miłość macocha.

KAMILA.

To kogoż kochać?

PANI NAŁĘCZ.

Wybiorę dla ciebie
Kogoś, co wszystkiem, wszystkiem będzie w stanie
Ciebie obsypać, i będziesz jak w niebie...
Tylko mnie słuchaj! Cóż moje kochanie?

KAMILA.

Będę posłuszną. (*nagle zwracając się do Zofji.*)
Zosiu, cóż ty na to?

ZOFJA.

Biedną ty będziesz, choć nawet bogatą.

KAMILA.

Czemuż tak mówisz, i z taką ironią?

ZOFJA.

Bo też w istocie tyś biedna Kamilo,
Gdy tylko złoto rządzić ma twą dłonią;
Takie błyskotki bardzo często mylą.

PANI NAŁĘCZ.

A częściej jeszcze urojenia zwodzą.

ZOFJA.

Ale przynajmniej duszy nie poniżą.

PANI NAŁĘCZ.

Nic nie pomogą, jeśli nie zaszkodzą,
I o włos jeden nieba nie przybliżą.

ZOFJA.

Tutaj na ziemi zwać się może niebem...

PANI NAŁĘCZ (*przerywa.*)

A, wiem, wiem naprzód co mi chcesz powiedzieć,
Ale świat szuka za powszednim chlebem,
I długo mogą na koszyku siedzieć
Takie panienki...

ZOFJA.

Które czuć umieją,
I o świat taki, jak ten wasz, nie stoją,
Bo nie on dla nich ostatnią nadzieją. —
A jednak biedne te panny! czy zbroją
Miłością serce, czy pierś muszlinami,
Coś zawsze znajdzie świat do zarzucenia,
Że strój, czy miłość — polewane łzami.
O, to są losy do pozazdroszczenia!...

KAMILA.

Co to, to prawda!

PANI NAŁĘCZ (*do Kamili*).

Moje dziecko lube,
Tylko nie słuchaj tych baśni z księżyca,
Które przynoszą Konstantemu chlubę,
Że panna Zofja niemi się zachwyca.

KAMILA.

Ja... ja nie słucham, ot tak sobie myślę.

PANI NAŁĘCZ.
Myśleć bez celu także nie wypada;
Przyszłość Kamilciu miej zawsze w umyśle,
Bo na dzieciństwa to najlepsza rada.

KAMILA.
Przyszłość? — Zapewne, myślę o przyszłości,
Jak kiedyś w pięknym stroiku na głowie
Przyjmować będę w własnym domu gości.

ZOFJA.
Ach, jak się z tego cieszą aniołowie!
Stroiki, szale, koronki i tiule...
Klękajcie przed nią pierwsi mody króle!

PANI NAŁĘCZ (*surowo*).
Jakbyś nie była jej rodzoną siostrą...

ZOFJA.
A coż ja złego?...

PANI NAŁĘCZ.
Takaś uszczypliwa.

ZOFJA.
Być może, czasem sądzę ją za ostro;
Ale Kamilcia z tem sobie szczęśliwa,
Gdy może mówić o stroikach, szalach,
O przyszłym mężu, chociaż byłby stary,
Byle na wszystkich znajdował się balach. —
Wszakże tak, siostro?

PANI NAŁĘCZ (*po części na stronie*).
Złośliwa bez miary. —

(*Mówi cicho do Kamili*).

ZOFJA (*na przodzie sceny*).
To złość, mój Boże! mów do nich ze łzami,
Z gorżkim uśmiechem, i mów serca płaczem,
Że się nie godzi takiemi myślami
Bawić dziewczynie — i chciej być tłumaczem
Miłości cichej — to złość, złość zakrzyczą!
I serca mowę do złości zaliczą.

PANI NAŁĘCZ (*odchodząc na prawo do Kamili, jakby kończyła*).
Pamiętaj dziecko. (*odchodzi.*)

KAMILA.
O, będę mameczko!

Scena II.

KAMILA, ZOFJA.

KAMILA.
Ty zawsze myślisz...

ZOFJA.
A tak, i za ciebie.

KAMILA.
Moja Zosiuniu, by nie kończyć sprzeczką,
To choć przy mamie nie lataj po niebie,
Bo twoich dziwactw, doprawdy, za wiele.

ZOFJA.
Tylko przypomnieć chciej sobie Kamilo,
Że twych wymysłów na każdą niedzielę
Daleko więcej; że nim się w motylą
Przemienisz postać na chwilkę jedynie,
To kilka godzin bezmyślnie upłynie,
I pół dnia czasem — i to wszystko na nic;
Moje zaś wieczne, jak mówisz: marzenia,
Czy tam latanie po niebie bez granic,
Nie odrywają mnie od zatrudnienia.

KAMILA.
Ach, jakież ważne masz przez dzień zajęcie!...

ZOFJA.
Lecz i mniej ważne ja wypełniam święcie.

KAMILA.
Jeśli masz jakie, samaś je stworzyła,
Bo któż ci każe?

ZOFJA.
Niewidoma wola,
Która na ludzi powinność włożyła,
Powinność pracy. Jest to ziemska dola,
I prędzej o niej wiedzieć się należy
Tobie, jak komuś, co po niebie lata,
Komuś, co wtedy gdy ziemię odbieży,
Nie wie, czy modna i do twarzy szata.

KAMILA.
Piękna nauczka, ale skończmy na tem,
Bo ja nie myślę gniewać się ze światem.

(*Staje przed żwierciadłem i poprawiając kwiat u włosów*).

Czy dobrze Zosiu kwiatek ten przypięty?
I coż, nie powiesz!

ZOFJA (*siadając na dawnem miejscu*).
Ale bardzo ładnie.

KAMILA.
Tylko kołnierzyk — patrz, już trochę zmięty,
Jeszcze raz, widzę, przebrać się wypadnie.

ZOFJA (*biorąc książkę*).
Ale czyż mnie to tak zajmować może!...

KAMILA (*zwracając się do Zofji*).
Coż cię zajmuje? A, czytasz, to pięknie!
Wiesz o czem myślę? prawie się założę,
Że znów pan radca przedemną uklęknie.

ZOFJA.
Jakto, czy klęczał?...

KAMILA.
Ale już dwa razy;
Za trzecim razem oświadczy się, ręczę!

ZOFJA.
I ty to możesz przyjąć bez obrazy?

KAMILA.
Mam się obrażać za to, że go dręczę?
Bo gdy on mówi, żem „nadobne dziecię,“
To ja mu na to: „tak każdy powiada,
Lecz mało który dowiódł na tym świecie,
Że to co mówi, prawda jest, nie zdrada.“

ZOFJA.
A wiesz Kamilo, że tak się nie godzi!...

KAMILA.
Co, tak się bawić? — A, tyś doskonała!
I coż to komu, albo tobie szkodzi,
Że tak niewinna bawi mię pochwała? —

(*Zofja zbliża się ku oknu.*)

KAMILA (*zajęta sobą*).
Sprobuję różę — bardzo przyzwoicie!...

ZOFJA.
Konstanty — przecie!

KAMILA.
Ten kwiatek nadobny.

(*Przegląda się w żwierciedle*).

Scena III.

ZOFJA, KONSTANTY, KAMILA.

KONSTANTY (*podaje rękę Zofji, po przywitaniu spoziera na Kamilę i mówi*).
Czy ona całe tak chce spędzić życie?

ZOFJA.
A ja, czy także?...

KONSTANTY.
Nie — twój los podobny,
Ale do mego.

ZOFJA.
Smutno ci więc zawsze?

KONSTANTY.
Gorzej jak smutno, bo smutek przemija
Kiedy tu wstąpię, ale mniej łaskawsze
Zamysły ojca... On, co formie sprzyja,
I mnie chce wprzęgnąć. —

ZOFJA.
Znów z ojcem niesnaski?

KONSTANTY.
A tak! i głosi, żem syn marnotrawny,
Niegodny nadal jakiejkolwiek łaski;
Chciał mi dać bowiem żywot w biórze sławny,
I przelać na mnie część swojej zasługi.

ZOFJA.
Ty odrzuciłeś?

KONSTANTY.
Ha! bo też w istocie,
Choćby u ojca robić na to długi,
Do czegom nigdy ja, w ducha prostocie
Nie czuł pociągu, — to byłoby grzechem.
Onby mię zmusić chciał, ja wiem, koniecznie;
Moje zamysły, jemu znane — śmiechem
Zabić szyderczym; nawet dość niegrzecznie
Mówi mi o tem, często wobec ludzi,
Którym się nigdy powtarzać nie znudzi.
Gotowi wtórzyć, że aż uszy zbolą.

ZOFJA.
To chcą znudzeniem zmieniać przekonania?

KONSTANTY.
Nie — chcieć nie mogą, bo dla nich jest wolą
Nie głos poczucia, co prawdy odsłania,
Ale utarte formy, bo nie trudzą;
Ich zatem rady mogą mieć ten skutek,
Że zamiast chęci, większą niechęć wzbudzą. —
Niedorzecznością dla nich wszelki smutek,
Kiedy przyczyna nie w pustej kieszeni. —
Z przyjaciół ojca, jeden starej daty
Radził naprzykład: „Wiesz, niech się syn żeni,
Zrobi karjerę i weźmie dukaty.
Ja znam panienkę jeszcze dosyć młodą,
Córkę człowieka zacnego, z wpływami...
Panna tam wprawdzie nie grzeszy urodą,
Lecz za to syn twój mógłby iść stopniami,
Iść coraz wyżej, i wyjść...“

KAMILA (*przysłuchująca uważniej gdy Konstanty kończył, wymawia nagle:*)
Na ministra!

KONSTANTY.
Zaszczyt za wielki, a panna zbyt stara.
Myśl moja zresztą aż zanadto bystra,
By się piąć zwolna, gdzie ta złota mara,
I gdzie na każdym szczeblu spocząć trzeba.

KAMILA.
A pan byś leciał, gonił bez wytchnienia,
I pragnął chyba świat oglądać z nieba?!...

KONSTANTY.
Przeciwnie — ziemskie moje są zachcenia,
I ztąd też takim obarczone trudem;
Bo tak się dzieje: choć rzetelna praca,
Gdyś jej sam poprzód nie okrzyczał cudem,
To marnie zginie; tak się dziś opłaca
Owoc sumienia.

KAMILA.
Więc pan chce?...

KONSTANTY.
Ułudy
I wiary więcej, szczególniej u dzieci,
A zaś u starych trochę mniej obłudy,
Bo ta szkaradnie srebrny ich włos szpeci.

KAMILA.
To pan zapewne mnie za dziecko bierze?
Otóż ja pana za to nienawidzę,
I nie mam wiary, nie wierzę! nie wierzę!
I całym światem okropnie się brzydzę!...

ZOFJA.
Ależ Kamilo, pytałaś przed chwilą
Czy ci do twarzy w tej róży, w tym kwiatku? —
Tobie się wszystkie kwiaty w świecie milą,
Zkąd nagle gorycz w tobie, mój bławatku,
Nienawiść świata, który cię olśniewa
Tysiącem uciech i nęci z daleka? —
Tak się doprawdy tylko dziecko gniewa,
Co na to wszystko — gdy za długo czeka —
Wymyślać zacznie.

KAMILA.
Ja, starać się o to,
Co dla mnie samo otworzy podwoje?
Wszakże wiem o tem, że byle mieć złoto,
Wszystko na świecie — gdy zapragnę — moje!
Twoje marzenia, twoje noce smętne,
Przy blasku płowym cichego księżyca,
Dla mnie za chłodne, dla mnie nieponętne;
Wiedz ty, pan także, żem nie anielica,
Ani też dziecko do gwiazdek w podlocie.
Ja lubię stroje, wieczory, zabawy,
Wiem, że to drogie, więc pragnę mieć krocie!
I proszę, bądźcie o mnie bez obawy.
(*Wychodzi na prawo*).

Scena IV.

KONSTANTY, ZOFJA.

KONSTANTY (*patrzy za odchodzącą*).
O bądźmy, bądźmy bez obawy o nią,
Bo rzeczywiście to dziecię dnia, chwili,
Co przez sen słyszy jak dukaty dzwonią;
Ktoś jej o szczęściu złotem pewnie kwili!...
Powiedz mi Zofjo, czy doprawdy... wasza
Matka tak uczy?

ZOFJA (*po chwili wahania*).
Tak.

KONSTANTY.
To tak cię boli,
Czuję, że boli więcej niż przestrasza.

ZOFJA.
Co dnia ja słyszę o pomyślnej doli,
Widzę stygnącą moję siostrę co dnia...
O tak, to boli!...

KONSTANTY.
Ale czyja wina?

ZOFJA.
Konstanty!

KONSTANTY.
Dziecko! — to nie żadna zbrodnia,
Gdy matka pragnie, aby jej dziecina
Znalazła szczęście, to przyznaj więc śmiało,
Że i twa matka winna mimo chęci.
Kocha swe dziecię, — i to jej za mało —

Chce dlań wszystkiego, co je bawi, nęci;
Lecz coż je czeka? Szczęście — odpowiada.
Ach, tak! — nie prawdaż? ach! szczęście koniecznie!
Bo je prowadzi doświadczonych rada
Drogą ubitą, do celu bezpiecznie.

ZOFJA.

O! ty zabiłeś obrodę bezwiednej
Słabości matek ironją, co grała
W twym głosie z prawdą.

KONSTANTY.

Wiesz, że w piersi biednej
Tysiąc strun jęczy — a pierś to nie skała,
Która pod młotem zajęknie, i głucha.
Otoż nędzami żywota zbiedzoną
Pierś, i na nędzę zburzonego ducha
Trudno uciszyć. — Wolą niewzruszoną
Do dziś ja stoję, gdzie stałem przed rokiem,
I ten nie postęp muszę nazwać w sobie
Wielką wygraną, bo za każdym krokiem,
Który mam zrobić, albo go już zrobię
Śledzi mój ojciec. — Zofjo, znasz przyczynę,
Ale ty nie znasz miłości obłudnej,
Która na dziecko spycha wszelką winę,
Która złorzeczy, jeżeli w tej trudnej
Drodze żywota nie chcesz przyjąć rady...
A jakiej rady!?... Chociaż masz zdolności,
Wyrzecz się duszy, i idź w moje ślady,
I bądź narzędziem dla mojej miłości.
Ukochaj bióro, atrament, szpargały, —
Jakbyś ukochał kochankę lub żonę! —

ZOFJA.

Może do tego bądź jeszcze i stały,
By ci ztąd spadło szczęście zasłużone?

KONSTANTY.

Ukochaj — mówi — jak bankier pieniądze,
I swe zajęcie, i tę jednostajność,
Która cię zrobi porządnym; zbudź żądzę
W sobie dla formy. — I czyliż sprzedajność,
Czyż ostateczne duszy zatracenie
Może być gorsze, nikczemniejsze w świecie
Jak takich rzeczy ślepe uwielbienie?
Spytaj tych ojców: czegóż to wy chcecie?
— Poszanowania! odpowiedzą starzy.
A matki czego? — Jużci, zięciów z chlebem,
Ze stanowiskiem, choć ducha kramarzy...
Doprawdy ludzie biorą rozbrat z niebem.
Lecz my nie pójdziem w ich ślady bezpieczne!

(*Zofja podaje rękę Konstantemu i staje tak, że go cokolwiek zasłania od wejścia głównego*). (C. d. n.)

Przegląd pism czasowych.

Uważamy za konieczne przed rozpoczęciem naszego przeglądu skreślić bodaj kilkoma słowami obecny stan dziennikarstwa polskiego, w szczególności zaś dziennikarstwa w Galicji.

Zkądinąd wiemy jak długi czas dziennikarstwo obcem, niejako wstrętnem było piśmiennictwu polskiemu. Powstawały dzienniki, pisma perjodyczne dla tego tylko, że takowe istniały w Europie; a Polska mieć musiała, to wszystko, co miał świat cywilizowany... Ogół z pewną niechęcią patrzał na czasopisma nawet i wtedy, gdy te ze zbieraniny luźnych artykułów przerodziły się na pisma wcale poważne („Kwartalnik krakowski,“ „Pamiętnik naukowy krakowski“), i takowe trwałego powodzenia nie miały.

Bodaj czy nie pierwszą w Polsce, a w Galicji z pewnością, próbą ustalenia się pisma literackiego, wżycia się w czytającą publiczność są „Nowiny“ lwowskie, przemienione następnie w „Dziennik literacki.“

Kiedy pisma inne w różnych stronach Polski mając wziętość chwilową, czas jakiś odpowiadając wymaganiom, w końcu widziały się zmuszonemi z działań widowni ustąpić — „Dziennik literacki“ stale wychodzi rok po roku, zyskuje coraz to większą liczbę czytelników, skupia w sobie literackie siły, jest w rzeczy samej pismem d o b r e m i niezaprzeczone usługi oddaje piśmiennictwu polskiemu, będąc częstokroć jedynym czynnikiem, który budził życie umysłowe, nie pozwalał na zastoj w literaturze, i niejako zmuszał ogół polski do interesowania się piśmiennictwem ojczystem. Pisma Kijowskie, Wileńskie, Petersburgskie, Poznańskie, i Krakowskie mają mniej więcej charakter przemijający.. Lwów tylko zdobył się na pismo, które istniejąc bez przerwy lat kilkanaście, przełamało wszelkie trudności, przeżyło nie jedną ciężką chwilę, i do dziś jeszcze istnieje. Prawdziwie, cudem to zwać należy, iż czasy ostatniego powstania tak bardzo nie sprzyjające piśmiennictwu, które serca i ręce skierowały na inne pole działań, nie znalazły w sobie dość niszczącej siły, ażeby zabić „Dziennik“. Pismo to, dzięki niezmordowanej staranności swego redaktora pana Dobrzańskiego przeżyło czasy powstania i pod późniejszą redakcją p. J. Sztarkla, nabierając sił potrzebnych, nie zdołało jednak odzyskać dawnych swych prenumeratorów, których liczba zmniejszyła się znacznie.

Powstanie stanowczo oddziaławszy na piśmiennictwo polskie nie pozostało bez wpływu i na „Dziennik literacki“. Faktem to jest, że od tej chwili bardziej uczuliśmy brak kilku znakomitych piór, z któremi już się nie spotykamy. Pisarze nowi prawie nie występują... powieść polska upada — wyczerpuje się... Księgarze już to dla zostoju w handlu księgarskim, już też dla braku dobrych powieści zaprzestają nakładów; czytająca publiczność, pozbawiona książek, rzuca się do pism perjodycznych, których liczba ze szkodą literatury wzrasta. Warszawa staje na czele tego nowego dziennikarskiego ruchu: niemoc literacką swych pism udaje się jej wesprzeć drzeworytami, które zwiększają koło czytelników. Na Litwie, w krajach zabranych polskość zgnieciona siłą; Pozańskie milczy, w Galicji obok „Dziennika“ powstają pisma inne, a rok 1868 przysporzył mu na raz kilku rywalów w samem Lwowie. Wygraliśmy na ilości pism — ale ich jakoś nie odpowiada wymaganiom. Obliczmy się najpierw z siłami. Kogo mamy z piszących? Korzeniowski, Grabowski, Rzewuski i inni pomarli; Kaczkowski zamilkł. Pozostali: Kraszewski, Zacharjasiewicz i Miłkowski. Trzej ci pisarze, wziętość mający w kraju, z porządku rzeczy winni być głównymi współpracownikami pism literackich; ale gdy zważymy, że Warszawa ma ich dziesięć, Lwów pięć, Kraków dwa, przekonamy się, że siły trzech ludzi chociażby jak natężone pracy nie podołają. Jakoż w istocie pisarze ci zdają się nie ustawać w pracy; szczególniej Kraszewski i Miłkowski sypią powieści... Ale ani zapotrzebowaniu wystarczyć, ani piśmiennictwu przysłużyć się nie są wstanie. Gorączkowy pośpiech, robota na obstalunek nie tworzy arcydzieł... Wielka to a w zastosowaniu do nas prawda zbyt smutna!... O ileż by wygrała powieść, gdyby dwa te niepospolite talenta, mogły dzieła swe opracowywać starannie... Ale dziś mowy o tem być nie może, bowiem pisma żarłocznie domagają się pokarmu, a któż im go poda, jeśli nie ci pisarze ustalonej sławy?

Doprawdy, trudno bardzo byłoby odpowiedzieć na pytanie: w jaki sposób, czem zapełniają swe łamy liczne pisma Warszawskie?... bo widniejszych imion, talentów nowych nie spotykamy tam wcale... Wielka to fabryka, którą zasilają jacyś nieznani światu robotnicy, z których oby kiedy jaki mistrz zdołał się wyrobić!

Zwracając uwagę na pisma w Galicji, widzimy że jest ich obecnie siedm w naszej prowincji; a ponieważ powieść jest treścią ich bytu, zliczmy siły powieściopisarskie, dla przekonania się: czyli są one w stanie podołać pracy przy tych pismach?

I tu musimy zawadzić o trójcę piszącą: Kraszewskiego, Miłkowskiego i Zacharjasiewicza, którzy acz skąpo, bo wynagrodzić ich za pracę nie są w stanie nasze redakcje, udzielają się przecież pismom galicyjskim... Ale na nich pisma nasze opierać się nie mogą i muszą mieć wspierające je siły inne... Ostatnie lata zaznajomiły polskich czytelników z trzema nowymi powieściopisarzami, o których sądu nie wydając konstatujemy tylko, iż stanowią główną podporę naszych pism literackich. Są nimi: Michał Bałucki w Krakowie, Władysław Łoziński i Paulin Stachurski we Lwowie. Jeśli do tej znowu trójcy dodamy pp. Turskiego, Gorowskiego (któren zamilkł) i parę innych nazwisk, które probowały sił swych w powieści — będzie to wszystko, cokolwiek mamy obecnie w Galicji.

Jeśli trzy pióra wytrawne nie mogą podołać pracy i obezsilają się jej nadmiarem — nie inny los spotkać musi siły młode, którym potrzebny jest wzrost, nie rozdrabianie się na części. Na trzech młodych pisarzów, siedm pism literackich — nieco za wiele!... Złemu zaradzono o tyle, że każden z trzech pisarzy poświęcił swe siły wyłącznie jednemu pismu. Z siedmiu wybrano trzy pisma: „Kalinę“, „Dziennik literacki“ i „Nowiny“. Pisma inne redaguje kto chce i jak chce, a jeśli pismo takie nie ma powieści Kraszewskiego, lub Miłkowskiego — nie ma żadnej, albo gorzej aniżeli żadnej!...

Od pół roku „Dziennik literacki“ zostaje pod redakcją Władysława Łozińskiego. Nie tykając przeszłości tego pisma, która jest często świetną, a zawsze dobrze krajowi zasłużoną, rospatrzmy się w „Dzienniku literackim“ jakim on jest w roku bieżącym.

Zmieniły się czasy i okoliczności. Nie weźmiemy więc za złe „Dziennikowi“, iż przestał być ogniskiem umysłowego ruchu w Galicji i nieześrodkowuje już w sobie sił intelektualnych... Zawsze jednak widzimy w nim pismo mające wziętość, i jako od takiego żądamy, ażeby utrzymało swoją powagę.

Z prawdziwą przykrością zapisać nam przychodzi, że pod nową redakcją „Dziennik“ nie podniósł swej wartości, czego mielibyśmy prawo żądać po jego utalentowanym redaktorze, któren odmówił pismu przez się redagowanemu własnej powieści, szpalty jego zupełniając powieściowemi szkicami bezimiennych autorów... Z zasady jesteśmy przeciwni zamieszczaniu jakiejkolwiek rzeczy bez podpisu autora; a chociaż bardzo często pismo czynić to jest zniewolonem, zawsze jednak „Dziennik“ wystrzegać się tego powinien, szczególniej w powieści naczelnej, jakiemi są w „Dzienniku Literackim:“ „Cezar“ i drukująca się obecnie „Panna Leokadja“

„Czarna polewka“ Kraszewskiego, zamieszczona na początku r. b. jest drobną pracą niezmordowanego pisarza, która jak sto innych tego rodzaju, rodzi się w poobiednich godzinach autora, i nie roszcząc pretensji do znaczenia większego, czytać się daje z przyjemnością.

Zawsze starannie redagowany dział poezji w „Dzienniku“ i tym razem niezbył ze swej sceny. Przekłady poetów angielskich przez A. Pajgerta i Wiktora z Baworowa należą do celniejszych. Poezje pod znakiem Y. w tegorocznym „Dzienniku“ są niemal wszystkie bardzo dobre. Nie możemy tego powiedzieć o wierszach p. Apollina Korzeniowskiego, które nie mają w sobie świeżości i poetycznego wdzięku. Niezbyt szczęśliwym był „Dziennik“ zamieszczając po razy kilka już drukowane poezje Syrokomli (Improwizacja) które zdawały mu się być nieogłoszone drukiem...

Z artykułów poważniejszych spotykamy tu życiorys ś. p. Karola Szajnochy, z talentem skreślony przez redaktora — rzecz cenna ze względu na przyszłą pracę tego rodzaju bardziej wyczerpującą. Henryka Szmitta: Zmowy Stanisława Augusta z Reppninem — artykuł opracowany sumiennie; ale wypowiedzenie pozostawia wiele do życzenia dla ciężkości stylu, charakteryzującego wszystkie prace historyka. Józef Korzeniowski studjum literackie K. Widmana przeciwko któremu wiele dałoby się powiedzieć... Ł. Tatomira O królu Kazimierzu Wielkim, trzy wykłady, miane w sali ratuszowej, o których wzmiankowaliśmy poprzednio, i wreszcie: Chłędowskiego: Urywki. — *Korespondencje* spotykają się w „Dzienniku“ dość rzadko; datowane z Warszawy zanadto są kompilatorskie i małego znaczenia. *Kronika bibliograficzna*, jak ją zaczął prowadzić „Dziennik,“ byłaby wielce pożądaną. W dziale *Recenzyj* spotykamy się z rzeczą, która nigdy nie powinna mieć miejsca w piśmie poważnem. Jeśli redakcja „Dziennika Literackiego“ znalazła moskiewską powieść Turgieniewa p. t. „Dym“ godną krytyki, winna ją była dać swym czytelnikom, nigdy zaś przedrukowywać takową z pisma politycznego, które nie rości pretensyj do znawstwa krytycznego, i z zasady musi brać rzecz każdą jak się mu ona przedstawia ze strony politycznej... co znowu w piśmie literackiem powinno zajmować stanowisko podrzędne. Recenzje teatralne odznaczają się chwiejnością, a ocenienie niektórych utworów zdaje się być nawet stronniczem... *Przewodnik* mógłby się więcej nieco interesować piśmiennictwem tak krajowem jak i zagranicznem; a z przykrością zauważaliśmy, iż „Dziennik Literacki“ któren dawniej interesował się sprawami dotyczącemi Słowian, pod nową redakcją zupełnie o nich przemilcza...

Takim jest obecnie „Dziennik Literacki“. Zaprzeczyć się nie da, że mniejszą ma wartość, aniżeli z lat ubiegłych; ale też i wiele ma on na swe wytłumaczenie. Nie „Dziennika“ to winą, że zdolnych pisarzów mamy nie wielu, a i tych wynagradzać odpowiednio nie jest w stanie pismo nie mające potrzebniej liczby prenumeratorów... Nie „Dziennika“ winą, że słabe siły literackie rozbiły się na kilka pism innych, świeżo powstałych... a nic mało jeszcze dałoby się na usprawiedliwienie jego przytoczyć. W każdym razie należy mieć nadzieję, że pismo to przeszedlszy obecnie do rąk ludzi mających stosunki i pieniądze, zdoła podnieść się i dorównać świetnej swojej przeszłości; czego mu z serca życzymy.

Rozmaitości.

* Rzeczą to jest znaną powszechnie, że Lwów jest miastem bardzo muzykalnem; dowodem czego są liczne stowarzyszenia mające na celu muzykę; siły jednak artystyczne naszego miasta rozdrobiły się na części tak drobne, że uważać je można za nie istniejące wcale... Że taki stan rzeczy pocieszającym nie jest — wynika samo przez się... że zaradzić złemu potrzeba — czujemy to wszyscy. Chodzi oto tylko: kto się ma wziąść do trudnego i wiele dla kraju znaczącego dzieła?... Sztuki piękne u nas są o tyle szczęśliwemi, że zdołały sobą zainteresować nasz świat wielki, któren, mianowicie muzykę, wziął pod swą opiekę. Dość tu będzie gdy wspomniemy o tygodniowych wieczorach muzykalnych u ks. S. udział jaki przyjmują w chórach hrabiowie i książęta... Na tym więc wielkim świecie cięży obowiązek zajęcia się losem muzyki w naszem mieście, bezpośrednio zaś powinnością Towarzystwa Muzycznego, (które nawiasem powiedziawszy, dotyczas zowie się galicyjskiem) jest: zebrać te rozstrzelone siły, zespolić je w sobie, czy też utworzywszy szersze towarzystwo muzyczne... bez tego bowiem nigdy nie zdołamy stanąć wyżej pod względem muzykalnym, i zwolennicy jednej i tej samej sztuki pięknej wzajemnie, z jej szkodą, będą siebie obezsilać. Sądzimy, że porozumienie się nastąpić by mogło, gdyby tylko dobra wola „Towarzystwa“ usunęła zawady, które głównie z winy jego kierowników powstały i dotychczas istnieją.

Takiem życzeniem widzieliśmy się w obowiązku poprzedzić sprawozdanie nasze o produkcjach muzykalnych, które miały miejsce we Lwowie ostatniemi czasy.

Towarzystwo muzyczne święciło swój prawdziwy tryumf koncertem nadzwyczajnym, na którym wykonano z wzorową dokładnością: Schuberta *Międzyakty z Rozamundy* i Rossiniego *Stabat mater* utwor, któren doczekał się w naszem mieście tryumfu nie tylko dla swej wysokiej wartości, ale i dla wykonania. Jeśli orkiestrze moglibyśmy co zarzucić, tedy chóry prawie nic do życzenia nie pozostawiły, a sola (pani Lederer i p. Lierhammer) przeszły wszelkie oczekiwania nasze. Szczególniej pani Lederer rozwinęła w swym śpiewie takie bogactwo głosu i tak rzadką dziś poprawność szkoły, że nie wahamy się uzawać ją: ze wszechmiar znakomitą śpiewaczką.

Wieczór muzyczny „Harmonji“ wypadł dość dobrze. W zupełności zadowoliło znawców duo Herza na dwa fortepiany odegrane z wielką dokładnością... O wiele więcej powiedzieć możemy o koncercie pana Wysockiego, który dając nam możność usłyszenia wybornego śpiewu, pozwolił oraz ocenić artystyczną wartość pana Müllera, nowopozyskanego przez „Towarzystwo“ nauczyciela śpiewu — któren w zestawieniu z koncertantem traci o tyle, o ile straciło „Towarzystwo“ jeśli prawdą jest, że p. W. miał zamiar zostać nauczycielem śpiewu w „Towarzystwie muzycznem.“ Nie wiemy jakie zdolności nauczycielskie mają obaj kompetenci; ale śpiewem góruje p. W. nad p. M. tak dalece, że największy przyjaciel ostatniego nie będzie mógł przyznać mu pierwszeństwa. Głos p. W. jest dźwięczny — p. M. słumiony; deklamacja pierwszego wzorową — p. M. nie ma jej w swym śpiewie; a co do modulacji umiejętnego władania głosem — porównać się obaj artyści nie dadzą, i przewaga stanowczo zostaje na stronie p. Wysockiego.

Pani Nowakowska, hucznemi przywitana oklaskami, urozmaiciła wieczór deklamacją, z jaką nie spotykamy się już na scenie naszej, po ustąpieniu ulubionej artystki, która oby już prędzej na scenie przyszłego teatru we Lwowie mogła mistrzowską grą swoją zachwycać stęskniona publiczność.

W końcu poruszyć musimy kwestję gdzieindziej już przedyskutowaną. Rzeczą przyjętą przez świat cywilizowany jest, że redakcje pism dające sprawozdania z widowisk i koncertów otrzymają na nie wstęp bezpłatny, a raczej sowicie opłacony tem, iż o nich mówią w swych łamach. Krytyka potrzebna jest dla wszystkich — najbardziej jednak cenną jest dla tego, kogo bezpośrednio dotyczy. Owoż pojąć trudno dla czego Lwów wyróżnia się od innych miast Europy, i wstępu wolnego na widowiska odmawia redakcjom?... Nie stosujemy tego do dyrekcji teatru, bo ta udzielając wstępu wolnego, już tem samem domaga się bezwarunkowej pochwały dla swych czynności, na co zgodzić się nie możemy... ale upominamy się o przysługujące nam prawo pod tym względem gdzieindziej.

* Uczniowie gimnazjum chełmskiego przed dwoma laty przedstawili *Antygonę* po niemieeku; toruńskiego po grecku, ale w Wrocławiu gimnazjaliści pod wodzą dra. Bacha, przed świętami, przedstawili taktykę grecką i bitwy pod Termopilami i Kunaksą. Dr. Bach uzbroił 48 chłopców w dzidy i tarcze lacedemońskie; zastęp ten wprowadził na salę gimnastyczną, dał rys bitwy pod Termopilami wedle Herodota, i sprawił ordynek. Chłopcy utworzyli kolumnę szeroką na 4 chłopa, głęboką na 12, i śpiewając pean wedle melodji do pieśni Szyllerowej, uderzyli na nieprzyjaciela markowanego, walecznie go rozparli dzidami, i trzy razy cofali się, znów zawsze odpierając Persów wdzierających się do wąwozu, i mordując okrutnie wzorem Leonidasa, który tym sposobem dwa dni się trzymał, aż go Persowie obeszli. Przedstawiając bitwę pod Kunaksą przedłużono w dwójnasób falangę, profesor krótko opowiedział ją wedle Ksenofonta, poczem śród śpiewu biegnąc uderzono na wroga, pobito go na lewem skrzydle, odpoczęto nieco, zrobiono zwrot na nieprzyjaciela, który tymczasem tył zaszedł, oparto się o Eufrat, zwrócono na prawo zkąd szła ezerń perska, którą znów porażono zwycięsko, po czem bohaterowie śpiewając czułą pieśń Uhlanda w tłumaczeniu greckiem cofnęli się do obozu. Podczas bitwy pod Kunaksą śpiewano pean grecki wedle melodji Mozarta z Wesela Figarowego.

* W Anglji niewiasty zdobywają coraz więcej uznania jeśli nie w życiu parlamentowem, to przynajmniej w parafjalnem. W gminie Illmire wybrano panią Sarę Woostar nadzorczynią domu ubogich i dróg publicznych gminnych „ponieważ nie było w obwodzie osoby ku temu zdolniejszej.“

* Podług „Now. Dorpt. Gaz.,“ liczba studentów uniwersytetu dorpackiego w ciągu pierwszego półrocza wynosi 562; z tych uczęszcza: na teologję 50, na prawo 175, na dyplomację 10, na medycynę 127, na farmację 40, na filozofję 1, na filologję 49, na ekonomję polityczną 14, na historję 18, na jeografję i statystykę 2, na matematykę 16, na astronomję 4, na fizykę 7, na chemję 31, na agronomję 10, na zoologję 5, na botanikę 2, na mineralogję 1. Rodem z Liflandji było 255 studentów, z Kurlandji 118, z Estlandji 67, z Królestwa Polskiego 15, z Moskwy 104, cudzoziemców 3, wolnych słuchaczów 30.

* Handel zwierzyną a mianowicie ptastwem, rozwija się miedzy Moskwą a Francją. „Monitor“ francuzki donosi, że w pięć dni z Petersburga do Paryża przybywa, a właściwie, 5go dnia po wysłaniu z Petersburga rozchodzi się wielka ilość zwierzyny moskiewskiej po departamentach Francji.

* „Sesja dziewicza.“ Tak zowią w Anglji kwartalne okręgowe posiedzenia sądów kryminalnych, jeżeli takowe nie znajdują żadnej do sądzenia sprawy. Wydarzyło się to właśnie w Oxfordzie: przybyli z Londynu sędziowie i zgromadzony komplet miejscowych przysięgłych, nie zastali w więzieniu okręgowym żadnego przestępcy, któryby na wyrok ich czekał. Według więc miejscowego zwyczaju burmistrz Oxfordu ofiarował szeryfowi hrabstwa, do którego należy między innemi układanie listy przysięgłych, tudzież rekordowi (wyższemu urzędnikowi sądowemu w rodzaju prokuratora) po parze białych rękawiczek. Od lat już pięćdziesięciu nie cieszył się Oxford takim wypadkiem.

Korespondencja Redakcji.

Jul. Ulewa w miejscu. Zamieścić nie możemy. Egzemplarz można odebrać w drukarni.

Pan S. D. w Krakowie. Prosimy o odpowiedź.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.